

KRZYSZTOF
BOCHUS

Wachmistrz

**KRZYSZTOF
BOCHUS**

Wachmistrz



Ta książka jest fikcją literacką i wytworem wyobraźni autora. Wszelkie podobieństwo do realnych osób i zdarzeń jest niezamierzone i całkowicie przypadkowe. Autor, korzystając ze swojej *licentia poetica*, starał się oddać realia opisywanych miejsc, ale tylko w takim zakresie, na jaki pozwalała fabuła powieści.

Prolog

Gdzieś w Danzig

Dziewczyna z przerażeniem wpatrywała się w jutowy worek. Był obsłizgły od brudu i śmierdzał zwierzęcymi odchodami. Nie to było jednak w nim najbardziej przerażające. Ten worek żył, wybrzuszając się co chwila w najmniej spodziewanych miejscach. Wiedziała, że znajdujący się w środku szcur prędzej czy później przegryzie tkaninę i wydostanie się na zewnątrz. A wtedy naprawdę zostanie z nim sam na sam.

Zamknęli ją w tej komórcie, dusznej i ciasnej, kilka godzin temu. Rzucili nią o klepisko jak workiem kartofli. To miała być kara za jej krnąbrność. Nie tego się po niej spodziewali?

Przygryzła wargi. Trzęsa się z zimna. Miała skrępowane ręce. Przeraził ją chłód przenikał przez cienkie ściany. Listopad był srogi tego roku. Domyślała się, że przetrzymują ją gdzieś blisko wody. Na Wyspie Spichrzów? Bliżej morza? Dobiegały do niej odgłosy nieodległej przystani: bucuki holowników, skrzywienie dźwigów i gwałtowne uderzenia wiatru w jakieś blaszane dachy na nabrzeżu. Kilkadziesiąt metrów od niej zapewne toczyło się normalne

życie. Gdzieś w pobliżu gdańszczanie powoli zapełniali małe kafejki i knajpy pachnące olejem i świeżymi rybami. Były światła i gwar. Było życie.

Jej norę wypełniały strach i poszarzała ciemność rozświetlana tylko przez rachityczną żarówkę zawieszoną na gołym kablu pod sufitem. Wpatrywała się w nią z napięciem, modląc się, aby nie zgasła. Miała wrażenie, że te resztki światła stanowią jej jedyną tarczę przed oszalałym gryzoniem kłębiącym się w worku. Wołała nie myśleć, co się stanie, gdy światło zgaśnie, a szczur wydostanie się na zewnątrz.

W tym momencie zauważyła, że w worku pojawiła się dziurka. Mała czarna plamka rosnąca gwałtownie w oczach – zwiastun nadchodzącego nieszczęścia i przerażającej katastrofy. Krzyknęła ze strachu i wtuliła się plecami w ścianę jak najdalej od tego, co nieuchronne. Czuła, jak szamoce się jej serce niczym osłepiony ptak w klatce.

Błysnął wizjer judasza. Usłyszeli jej krzyk. Boże, bądź miłościw, oddał lęki moje... Tylko nie to! A jednak. Światło nagle zgasło, jakby ktoś spuścił ciemność z uwięzi.

Niemal w tym samym momencie oszalały szczur wydostał się na zewnątrz. Poczula jego zimne pazury na swoim ciele. Musiał być wygłodzony, natychmiast ugryzł ją w szyję, co odebrało jej dech. Jak oszalała próbowała go zrzucić z siebie, ale gryzoń nie popuszczał. Był ogromny, miał wilgotną sierść i cuchnął portowymi kanałami. Wgryzał się żarłocznie w jej ciało, a ona, walcząc z obrzydzeniem i bólem, próbowała go strząsnąć. Bezskutecznie.

Raz nawet udało się jej oderwać gryzonia od siebie, ale ten niemal natychmiast ponowił atak. Tym razem wżarł się w jej łydkę, wyrywając jej kawał ciała. Przeszył ją paraliżujący ból. Jezu! Zaczęła krzyczeć z rozpacz, a jej wibrujący

krzyk obijał się o betonowe ściany, rozpadał się na pojedyncze, tępe głoski i opadał niczym czarny deszcz.

Podciągnęła się do wejścia i w szale zaczęła walić pięściami w drzwi.

– Wypuście mnie! Ratunku!

Gryzoń skoczył jej teraz na plecy. Czują, jak koszula przesiąka jej krwią.

– Litości!

Dopiero po minucie, która wydała się wiecznością, usłyszała jakiś hałas po drugiej stronie drzwi.

– Czego chcesz, dziwko?

To był głos tego mężczyzny, który zaczepił ją na Breitgasse... Niski i chrapliwy, jakby wydobywał się ze studni...

– Zrobię wszystko, czego chcecie, tylko mnie stąd wypuście! – Głos więził jej w gardle.

– Na pewno będziesz już posłuszna?

– Błagam! – Domyślała się, co ją czeka. Ale wszystko było lepsze niż ten szurzy koszmarny. Zresztą ona i tak już nie żyła. Jej życie skończyło się tydzień temu, gdy spotkała na ulicy tego mężczyznę o twarzy wiejskiego pastora... Mogła się wtedy nie zatrzymać. I zignorować go. Nie zrobiła tego jednak.

Usłyszała skrzypnięcie drzwi i przypadła do progu. Spozna strużki światła wyłoniła się ręka jej prześladowcy. Poczowała, jak chwyta ją brutalnie za włosy i wywleka na zewnątrz.

– Czas pospłacać rachunki, dziwko!

Rozdział I

Raz, dwa, trzy, giniesz ty

1.

Sobota, 23 listopada 1929

Tak jak się spodziewał, dom stał w mało zamieszkałej okolicy. Niewielki, nierzucający się w oczy, przesłonięty płótem chroniącym go przed wzrokiem obcych. Wręcz idealny na dziuplę. Jego informator rzadko się mylił. W pobliżu znajdował się tylko niewielki bloczek zasiedlony przez robotników ze stoczni Schichaua. Wachmistrz jednym susem przesadził ogrodzenie. Podszedł ostrożnie do domu i zadudnił pięścią w drzwi. Po chwili zastukał jeszcze raz.

– A ty kto? – W judaszu błysnęło przekrwione oko.

– Schutzpolizei*.

– Chuja tam policja. Sam dbam o porządek. Nikogo nie zapraszałem – doleciał go głos zza drzwi.

* Schutzpolizei, w skrócie Schupo – policja porządkowa, formacja policyjna utworzona w 1921 roku dla zapewnienia bezpieczeństwa mieszkańcom Wolnego Miasta Gdańska.

Kukulka zlustrował przeszkodę dzielącą go od mieszkania. Bez trudu rozwaliliby te stare odrzwia kilkoma kopnięciami, ale to mogłoby ponownie uruchomić ból głowy. Miał gigantycznego kaca i suchy wiór w ustach. Do tego dochodziło – jak zawsze po alkoholu – nie najlepsze nastawienie do bliźnich, takich jak ten gnój odszczekujący się teraz za drzwiami.

Niby wiedział, że nie należy mieszać piwa, nawet najlepszego haberbuscha, z goldwasserem. A jednak wczoraj zaserwował sobie taki koktajl w knajpie przy Neufahrwasser. I teraz łeb mu pękał, nieledwie czuł, jak przelewa mu się płyn mózgowy. Chlup, z lewej na prawo, chlup, z prawej na lewo. Poluzował kołnierzyk. Było mu duszno w listopadzie. Szlag!

– Panie Bursche, wpłynęła na pana skarga. Podobno w pana mieszkaniu śmierdzi gazem.

– Przecież ja, kurwa, w ogóle nie mam gazu. Opalam chałupę kozą.

– No widzi pan, jacy są ludzie. Coś im strzeli do łba i zaraz gnają na policję. Tylko by anonimy pisali. Tak więc to tylko formalność. Rzucę okiem, złożę meldunek i będzie po sprawie.

Odpowiedziała mu długa chwila ciszy. Neandertalczyk dalej zastanawiał się, czy otworzyć? Kukulka odliczył w myślach do dziesięciu. Nadal nic. No trudno. Odsunął się od drzwi na dwa kroki. Na korytarzu śmierdziało moczem. Co za nora, szlag! Chciał ruszyć z impetem, by wyważyć drzwi, gdy nagle usłyszał chrzęst zamka. Narreszcie!

Minał w wejściu otyłego mężczyznę z podgolonym karkiem. Marynarski tatuaż na ręce. Wojskowe buty. Szrama na opasłym ryju. Kukulka rejestrował te szczegóły niejako

bezwiednie, z policyjnej rutyny. Po prawej ręce mała kuchnia, stos niedomytych naczyń, rudy zacieki na zlewie. Na wprost pokój dzienny. Stał na środku pokoju i zmrużył oczy. Południowe słońce przedzierało się przez brudną firankę i raziło mu podrażnione spojówki oczu.

– Koza jest w kuchni – dobiegł go głos zza pleców.

– A towar gdzie trzymasz? – Odwrócił się do Burschego. Tamten dorównywał mu wzrostem. Podkoszulek, kiedyś biały, opinał roste bary i węzły mięśni. Męczyzna łapy miał jak konary.

– Co, proszę? – Bursche stęzał, jakby przeszył go prąd.

– Słyszałeś. Sikory, walutę, biżuterię. Bo ty, Bursche, bandyta jesteś. Znaczą się paser.

– Nie przyszedł pan w sprawie gazu?

– No jakoś nie. Wyobraź sobie. Wachmistrz Kukulka. Kripo.

– Mówił pan, że z Schupo. – Tamten czepiał się jeszcze nadziei, że to nieporozumienie.

– Przejęczyłem się.

– Napiszę na pana skargę. – Wyrwidąb wycofał się o krok.

– Musiałbyś najpierw nauczyć się pisać. A teraz do rzeczy. Gdzie fanty? Interesują mnie zwłaszcza te z napadu na salon jubilerski Winkelmanna przy Goldschmiedegasse*... Wiewiórki gadają, że maczałeś w tym palce...

– Pierwsze słyszę – nie tracił rezonu Bursche.

– Posłuchaj. Podczas tego napadu postrzelono nie tylko starego Winkelmanna. Zabłąkana kula trafiła dziecko śpiące za ścianą. Dziewczynka została kaleką na całe życie.

– Mnie nic do tego...

* Obecnie ul. Złotnicza – ulubiona uliczka gdańskich złotników i jubilerów.

– Poza tym jestem słabego zdrowia, Bursche. I mam właśnie migrenę. Okaż obywatelską postawę i oszczędź nam tego całego gówna. Powiedz, gdzie trzymasz trefny towar. Spiszę stosowny meldunek, że interwencja nastąpiła w wyniku anonimowego doniesienia. A potem przytknę cię w areszcie przy Schießstange*, tak żebyś miał alibi, że nie kapujesz i niby odmówiłeś współpracy. Będziesz kryty przed swoimi szefami, że taki twardej jesteś. No, nie kapujesz na swoich, bynajmniej. Wyprzesz się wszystkiego, wypuścimy cię po kilku dniach. Proste, co nie?

– Pierdol się, psie.

– Jak sobie życzysz. – Kukulka westchnął i jednym, dobrze wycelowanym kopnięciem w podbrzusze zgiął Burschego w pół. Ten po kilku sekundach odzyskał siły, ale było już za późno. Wachmistrz przytknął mu zimną lufę lugera do czoła.

– Nawet o tym nie myśl – powiedział. – Nie zawaham się, bądź pewny...

– Nie użyjesz broni, cieniasie. Musiałbyś za to odpowiedzieć przed sądem. Nie odważysz się. – W oczach Burschego nie widział strachu, raczej zimną determinację. I nienawiść.

– Masz rację, szkoda kuli na takiego świniopasa – powiedział Kukulka i niespodziewanie uderzył mężczyznę kolbą rewolweru w skroń. Bursche zwałił się na podłogę jak worek cementu.

Wachmistrz chwycił go za nogi i dowlókł do łazienki. Znowu poczuł, że ma głowę. Chłup, z lewej na prawo, chłup, z prawej na lewo. Jezu! Co za klaustrofobiczna dziura. Koszula kleiła mu się od potu. Chwycił pasera za włosy i wsadził mu łeb do muszli klozetowej.

* Obecnie ul. Kurkowa. Mieścił się tam znany areszt policyjny.

Pociągnął za spluczkę, obserwując z zainteresowaniem, jak ruda ciecz wypełnia muszlę. Począł cierpliwie, aż tamten odzyska przytomność i zachłyśnie się wodą. Trzymał w żelaznym uścisku wierzgające ciało. Bursche walczył jak dzikie zwierzę schwyte w potrzask, kopiąc na wszystkie strony i wierzgając, ale wachmistrz nie zwolnił uścisku. Dwadzieścia, trzydzieści, wystarczy! Wyciągnął ociekający wodą czerep na kilka sekund i ponownie wcisnął go do muszli. Dwadzieścia, dwadzieścia pięć... Poczł, że ciało sflaczało. Mógłby przytrzymać tego gnoja jeszcze kilka sekund. I uwolniłby to parszywe miasto od darmożjada i urodzonego bandyty. O jednego skurwysyna z czarnym podniebieniem byłoby mniej... Ale rozsądek podpowiadał mu, żeby tego nie robić. Przynajmniej nie w taki głupi sposób. I tak miał już przesrane na Karrenwall... Posner znowu oskarżyłby go o „stosowanie przemocy i środków nieadekwatnych do sytuacji”, cokolwiek znaczyła ta biurokratyczna nowomowa.

Bursche łapczywie nabierał powietrza. Oczy wychodziły mu z orbit. Wyglądały jak ebonitowe kule siłą wetknięte w cofnięty oczodół.

– Będiesz teraz bardziej rozmowny? – Kukulka potrząsnął nim brutalnie.

– Wypuście mnie z aresztu? – wycharczał Bursche.

– Przecież obiecałem.

– W domu nie trzymam nic. Fanty są w zabetonowanej studni w ogrodzie, pod gołębnikiem. Nigdy byście ich nie znaleźli...

– No i pięknie. Daj rączki, założę ci obrączki.

– Po co, mówię prawdę...

– Muszę sprawdzić.

Wrócił po kilku minutach, przytupując z zimna.